

Przegląd duszy.

Czem jest Bóg dla mnie?

Wszystkiem, czy tylko dodatkiem w życiu?

Czem powinien być?

Moim Panem, Właścicielem, Sędzią.

Czem mógłby być?

Szczęściem, Światłem, Kierunkiem, Siłą.

Czem powinnam być względem Boga?

a czy nie mogłabym być tem, co konieczne aby być chrześcijanką?

Czem bliźni jest dla mnie?

Przedmiotem rozmaitych pokus i niecierpliwości.

Czem powinien być?

Przedmiotem uszanowania i miłości, bo jest żyjącym członkiem Chrystusa Pana!

Czem mógłby być?

Zbudowaniem i przykładem, gdybym umiała uznać jego zalety i korzystać ze sposobności, jakie mi daje, ćwiczenia się w rozmaitych cnotach!

Czem jestem dla bliźnich?

Czasem złym przykładem, czasem zgorszeniem, czasem powodem zniechęcenia i krytyki.

Czem powinnam być?

Żyję już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus! (Gal. II. 20).

Czem mogłabym być?

Wzorem, zachętą, umocnieniem, osobą pokój dającą.

P. Jener.

Z życia p. Jenerałowej. (lata dziecięce) 9.

Ukochana ciotka X-na Württemburska, zwykła była mawiać, że u dzieci nie trzeba się niczemu dziwić, niczem gorszyć, ani niczego się od nich nie spodziewać, ale że ich trzeba wszystkiego nauczyć i wszystko w nich wyrobić: rozum, sąd, sumienie, nawet serce.

Wielka to prawda; P. Birt w istocie według tej zasady nas wychowała. Miała istotny do tego dar i wszystkie ku temu posiadała warunki i najpotrzebniejsze ze wszystkiego: wytrwałość, poświęcenie i cierpliwość. A mówiąc o jej cierpliwości, nie chcę powiedzieć, że była cierpliwa w zwykłym słowa znaczeniu, bo tego jej właśnie brakło, ale była cierpliwą w wykonywaniu tego, co nasze wychowanie na nią nakładało. — Bo też niezmierny jej wpływ, nie tyle pochodzący z oficjalnych stosunków nauczycielki z uczenicami, nie zależał od

czasu poświęconego na nasze nauki, ale wypływał ze stosunków z nią poza naukami.

I tak, brat mój miał guwernerów z którymi się uczył w oficynie, ale ledwo książki zamknął, zmykał nie do stajni, nie do kredensu, jak to czynią inni chłopcy, na rozmowę i zabawy, ale wykradał się do P. Birt. Dlaczego? Poprostu dlatego, że ona zawsze miała gotową uwagę i gotowe współczucie na to, co go obchodziło.

Zepsuł się latawiec, wiedział, że ona mu go sklei i naprawi; podarły się rękawice, wiedział, że ona je na poczekaniu zeszyje, brakło mu szpilki, guzika, szpagatu, papieru, wiedział, że się u niej znajdują. Głodny był po przechadzce lub polowaniu, ona umiała mu się wystarać o coś do zjedzenia. Surdut splamił, książkę podarł, wiedział, że u niej znajdzie ratunek.

Zaszła trudność z nauczycielem, do niej przybiegał po radę; nie mógł się czegoś nauczyć, ona mu pomagała. Lekcji angielskiego nie dawała mu, ale zwykła była nam głośno czytać, w czasie gdyśmy robotami się zajmowały. Brat widząc, że nas te książki zajmują, przysiadł się słuchać, a ona mu wszystko tłumaczyła. Często się to powtarzało, aż razu jednego prosił jej, żeby się nie trudziła, że jak czegoś nie zrozumie, to zapyta. Pokazało się, że już wszystko rozumie.

Jak się nauczył rozumieć, tak się nauczył mówić, nikt nie wiedział kiedy, ani jak. Ale P. Birt miała dar nauczania pozornie nie ucząc, czas tylko mile przepędzając.

Po powrocie do Oleszyc stan ogólny mego zdrowia potrochu się poprawiał, ale oczy zawsze były chore. Co kilka dni stawiano mi wizyktorje i pijawki, nic to nie pomagało. Poradzono spróbować Iwonicza.

Stąd powstał projekt, że wszyscy razem tam pojedziemy, lecz stamtąd ojciec z siostrą Izą i p. Birt odbędą podróż w Tatrach.

Żał mi było niezmiernie nie jechać z niemi, ale myśl zostania sam na sam z Matką, była dla mnie nieporównaną radością.

W Iwoniecu mnóstwo było kąpiących się gości, a że Matka mało była mowną, mało się udzielała, tem większą budziła ciekawość, tembardziej chciano się o niej czegoś dowiedzieć. Nie mogąc z nią rozmowy zawiązywać, mnie zaczęto rozmaitemi pytaniami.

W niedzielę kaplica wyglądała jak salon, wszyscy ze wszystkimi rozmawiali, kłaniali się, witali, co Matkę bardzo gniewało.

Jednej niedzieli, jakaś pani siedząc za mną w ławce, nie mogła już wytrzymać tej niewiadomości odnośnie do naszego nazwiska, pochodzenia, mieszkania i t. d. nachyliła się ku mnie o rozwiązanie tych rozmaitych pytań.

W niemałym byłam kłopotcie; jak odpowiem, Mama powie, że rozmawiam, jak nie odpowiem, ta pani się obrazi. Więc postanowiłam wszystkiemu zadość uczynić, mówiąc tej pani, zdaje się że dosyć głośno, bo wszyscy usłyszeli: „Mama nie pozwala w kościele rozmawiać“. Matka zakryła sobie twarz książką, a moja pani odpowiedziała, że to bardzo ślicznie i bardzo sprawiedliwie.

Od tej pory ustały wszelkie rozmowy niedzielne w kaplicy, a matka była uradowana.

Nie zawsze jej jednak tyle zadowolenia sprawiała. Dla rozrywki darowano mi już w Oleszycach jakieś czarne jagnię, którego życie łzami memi uratowałam. To jagnię przywędrowało z nami do Iwonicza; twierdziłam, że i ono potrzebuje kuracji.

Z jagnięcia zrobił się potrochu dość pospolity baran czarny, który mnie na krok nie odstępował.

Było w Iwoniczu jakieś źródło siarczanej wody, które specjalnie służyło żydom.

Czerpać wodę tę trzeba było w samym basenie, do którego z pod ziemi tryskało źródło.

Przyśniło mi się, że mój baran na tę samą chorobę co żydzi choruje i w basen go wepchnęłam.

W tej chwili nadeszła gromada żydów pić wodę. Co począć? uciekać z życiem przed żydami, a barana ich złości zostawić, czy bronić barana, a siebie narazić?

Uciekłam. A nie wiem jakim cudem, baran się wymknął i za mną do domu pogonił. Ale żydzi nie mała narobili o to hałasu.

Iwonicz nic oczom moim nie pomógł. Po skończonej podróży po Tatrach, Ojciec wrócił i pocieszał mnie, że tam nie była, obiecując, że mi się to kiedyś powetuje i że pewno kiedyś i ja Tatry zobaczę.

Piszę to w Zakopanem! — Nic się nie traci na czekaniu, mówi francuzkie przysłowie.

P. Birt w podróży cały album tatrzańskimi widokami zapełniła, uradowaną była podróżą i wszystkiem co widziała, a ja cieszyłam się myślą, że w Polsce oprócz nieszczęścia są i inne rzeczy.

Za powrotem do Oleszyc, niedługośmy tam bawili. Rodzice wybierali się nareszcie do Kórnik.

Rozstanie z Oleszycami bardzo było bolesne. Szkółki z takim trudem i taką miłością założone; włóścian z którymi nas takie serdeczne, jakby rodzinne stosunki wiązały, opuścić musieliśmy.

Ludzi, domu, ogrodu, koni, książek, zabawek, wspomnień, przywyknień, sąsiedztwa Wysocka, wszystkiego nam żal było, a mojej Matce i trzech proboszczów, łacińskiego i dwóch ruskich, z którymi serdeczne stosunki zawiązać umiała. Mówiło się, że wyjeżdżamy tylko na krótko, ale serca przeczuwały, że to na zawsze.

A jednak, ten Kórnik przedstawiał nam się jako ziemia obiecana, jakby jakaś czarodziejska ziemia, o której słyszało się często, ale do której dobić było niepodobna.

O Poznaniu mieliśmy wyobrażenie, że to bardzo wielkie miasto i zdawało nam się, że nasze własne znaczenie na świecie powiększa się w stosunku do znaczenia naszej przyszłej siedziby. O Poznaniu wiedzieliśmy, że to dawna Polski stolica, że tam są groby Mieczysława i Bolesława i to więcej nam sprawiało wrażenia niż Wawel, bo dalsze i nieznane.

Z nami przybyli do Kórnik dwaj rusini: Szymek Woźnica i Michał Szymek służący. Ten Michał późniejszy Szymkowski, uchodził za nadzwyczajnego człowieka i powszechnie nazywany był u nas: „le saint homme” (św. człowiek). Przybyło z nami kilka koni; bo ojciec dochował się w Oleszycach znakomitej stadniny. Z tych koni

jeden był ukochanym dla dzielności swej, nazywał się Hetmanem. Przybył i śliczny New Foundland, wysockiego chowu, czarna i ukochana przezemnie Wisła.

Ojciec wyprzedził nas, aby nam jaką taką siedzibę przygotować. Podczas konfiskaty, pałac poznański został obróconym na resursę, czy kawiarnię, a zamek kórnicki na szpital dla cholerycznych. Ojciec umiał to wszystko jakoś do porządku doprowadzić, a nam się wydało, że mu w Kórniku i Poznaniu jakoś do twarzy.

Skorośmy stanęli w Poznaniu, Ojciec uprzedził Matkę, że ktoś umyślnie na jej przyjęcie daje wieczór i że uwolnić się od pójścia nań nie może. Jeżeli mnie pamięć nie myli, było to na trzeci dzień po naszym przyjeździe.

Dotychczas, gdziekolwiek siostra szła, tam i ja, to też wcale mi przez myśl się nie przesunęło, żeby ona miała być na wieczorze, a ja nie. Trochę mi się dziwnie wydało, że tyle krzątania około jej ubrania, a że o mojem jakoś mowy nie było. Nareszcie zrozumiałam, że ja znowu „na ser za młodą“. Troszkę mi jednak było markotno, bo wyobrażałam sobie, że być na wieczorze, to coś musi być bardzo przyjemnego. Ale wnet się pocieszyłam, bo odkąd siebie pamiętam, jakąś miałam władzę rozkazywania na skinienie swoim życzeniom. Tak i w tym wypadku. Nie mam być na tym wieczorze, a więc nie chcę być. Nie chcę, a więc sobie nie życzę i nigdy więcej życzyć nie będę.

Tak się też stało i na tem zakończyła się moja miłość świata i wieczorów. Powiedziałam sobie: oczywiście świat nie dla mnie i ja nie dla świata i to przekonanie już się nigdy we mnie nie zachwiało.

Referat wygłoszony przez jedną z dawnych uczenic w Zakładzie Kórnickim w Zakopanem w rocznicę śmierci p. Jenerałowej.

Błogosławieni którzy w czasie gromów
Nie utracili równowagi ducha,
Którym na widok spustoszeń i złomów,
Nie płynie z serca pieśń rozpaczyny głucha;
Którzy wśród nocy nieprzybytej cieni
Nie tracą wiary w blask rannych promieni
Błogosławieni!

J. Kasprowicz.

Każda miłość ma swoje wymagania wedle słów Pisma sw. nie ten, który mówi „Panie, Paniel“ Boga miłuje, ale ten, który czyni wolę Jego.

Miłość Ojczyzny wymaga ofiary i jeżeli dziś mamy wolną i niepodległą Polskę, to zawdzięczamy ją, tym wszystkim szlachetnym jednostkom, które w czasie gromów nie utraciły równowagi ducha, ale wiarą w blask rannych promieni, szli żmudną drogą cierpienia i ofiary dla niej.

Życie polskie, tak jak życie chrześcijańskie, było i być powinno dziś jeszcze — wieką ofiarą siebie — swego ja butnego, nieujarzmionego, na ołtarzu miłości Ojczyzny.

Dlatego też, zrozumienie tej prawdy zniewala nas do złożenia hołdu pamięci tej niepospolitej, mężnej, „błogosławionej“ niewieście polskiej, jaką była założycielka i fundatorka Zakładu Kórnickiego św. p. Jadwiga z Działyńskich Zamoyska. Pamięć tę uczcijmy przez powstanie i chwilę milczenia, aby dusz naszych najwyższy lot, skierować tam, gdzie dziś już ona za życie pełne ofiary i znoju, uzyskała wywyższenie należne u Ojca niebieskiego.

Cześć Jej i chwała....

Upasażona przez Boga nadzwyczajnymi darami umysłu i serca, wielka duchem, a pokorna służebnica woli Najwyższego, mogła błyszczeć przed światem jako talent pisarski, ale duch jej zbyt był wysoki, zbyt przesiąknięty świętymi tradycjami zbożnego gniazda, przeto zwracała swe serce i umysł do dóbr nadprzyrodzonych, szukając wyższych ideałów, skupiała całe swe jestestwo w jednym kierunku pracy dla odrodzenia Ojczyzny.

P. Jener. Zamoyska znaczną część swego życia spędziła na obczyźnie, Francja, Anglja, to kraje gdzie przebywała długie lata, a jednak sercem całem oddana była Ojczyźnie, biednej, skołatanej...

Wychowana w domu prawdziwie chrześcijańskim, przejęta surowemi zasadami życia, od najwcześniejszych lat, prawie dziecinnych, męczyła swój niezwykle refleksyjny umysł pytaniem, co czynić należy, aby się doskonalić wciąż i na świecie żyjąc. przestrzegać praw głoszonych przez Chrystusa...

Nadzwyczajne wprost myśli miała jako 8 letnia dziewczynka, gdy przechodziła bolesną chorobę. Zanctowane dziecianem pismem są słowa listu... „Modlić się będę bardzo, bardzo, ale nie o zdrowie, bo P. Bóg kiedy dał mi chorobę, to nie chciał, abym ja mruczała, bom parę razy mruczała oto, że mnie nie dobrze, to teraz P. Bóg chce mi dać wiedzieć, że gorzej jak drugich boli i jak jest dobrze kiedy mnie boli“.

Jak niezwykle są słowa tej małej dziewczynki, powołanej od Boga do rzeczy wielkich...

I zdarzyła się chwila osobliwa, gdy Bóg zapukał do Jej serca, wielkim głosem bólu macierzyńskiego nad utratą malutkiej ukochałej dzieciny, która na Jej ręku zmarła...

Patrzac na męczarnie maleństwa swego, Pani Jenerałowej wciąż jedna myśl uparcie wracała: „Co to jest śmierć... kara za grzech“... A jakże strasznym jest grzech, gdy P. Bóg aż tak karać musi ludzkość... A zatem, unikać grzechu, uciekać przed nim, schronić się... gdzie? jak postępować, aby żyć w możliwej doskonałości bez grzechu...

Dziwnymi drogami, ogniem próby bolesnej doświadcza Bóg tych, których wybrał wśród wielu i szczególnie umiłował i powołuje do prostowania dróg Pańskich...

Pani Jenerałowa po śmierci swej malutkiej córeczki, wciąż myślała, gdzie się nauczyć żyć prawdziwie po chrześcijańsku. Zaczęły się Jej wędrówki po klasztorach, gdyż sądziła, że tam znajdzie ten sposób życia upragniony. Napotkała jednak na trudności, gdyż żaden klasztor nie mógł jej przyjąć tak, aby włączyć w swe życie klauzurą oddzielone od świata,

Wtedy to, zapoznała się ze stowarzyszeniem Oratorjanów i ta znajomość, oraz zrozumienie przez nich jej idei, zdecydowało o postanowieniu otworzenia szkoły życia chrześcijańskiego. — Zakładu Kórnickiego.

To jest właściwa geneza powstania tej szkoły o typie gospodarstwa domowego, której jednak zadaniem głównem jest, szerzenie apostołstwa pracy w duchu chrześcijańskim.

Dekalog i katechizm, to filozofja życia chrześcijanina, prawdy proste, żądania jasne i zwięzłe.... Taka filozofja dostępną jest dla wszystkich, jedno prawo dla wielkich i maluczkich, tak jak jedna kara za grzech dla wszystkich ludzi została wymierzona t. j. śmierć.

Szkoła gospodarstwa domowego, tytuł oficjalny, pożyteczną bowiem jest wiedza w zakresie potrzeb człowieka tu na ziemi — ale pamiętać trzeba, że myślą przewodnią p. Jeuerkowej w tej szkole t. j. owa wierność w małych rzeczach, kształcąca charaktery dziewcząt uczenie coraz wyżej... wyżej, aż tam, gdzie jest wiekuiste *Do bro — Piękno i Miłość*.

Zyg. Krasinki powiada słusznie:
Wszystko spłynie na potoku,
Wszystko zniknie na głębini
Co widome tylko oku
Lecz *idea* nie przeminie“....

Całe szeregi pokoleń kobiecych, które przeszły przez Zakład Kórnicki, nauczyły się tam pełnić obowiązki swego stanu w duchu chrześcijańskim. Mnóstwo przykładów z życia uczennic żyjących w świecie, przytoczyćby można na poparcie tego twierdzenia (*d. c. n.*)

Ze świata.

Pisze do nas ktoś z Francji, dzieląc się z nami swemi wrażeniami i spostrzeżeniami:

„Co w sposób szczególny uderza u kobiet francuskich to brak patriotyzmu, poczucia narodowego i miłości ojczyzny.

Gdy Polka czuje się członkiem swego narodu, odpowiedzialną do pewnego stopnia za swój kraj, posiada prawo wyborcze, kocha swoją Ojczyznę od urodzenia, a żyć i poświęcić się dla niej uważa za swój obowiązek i misję daną jej od Boga — to kobiecie francuskiej uczucia te są nieznane.

We Francji kobieta jest matką, siostrą, żoną, Francuzką. Na pierwszym planie jest miłość rodziny, następnie małej ojczyzny, a na końcu dopiero Francji. — Cóż to jest ta mała ojczyzna? (wyraz bardzo tutaj w użyciu). Oznacza on miejsce rodzinne, albo najszerzej biorąc, prowincję, w której leży miejsce rodzinne. I kocha się tę okolicę, jako miejsce urodzenia i zamieszkania. Kobiety we Francji nie mają głosu wyborczego, pojęcie Ojczyzny i Państwa są utożsamione. Państwo istnieje dla obywateli, obywatel to ten, co służy w wojsku, płaci podatki i. t. p. Państwo przychodzi mu w pomoc, zabezpieczając jego prawa i. t. p. Ale nie żyje się tu dla ojczyzny w idealnem pojęciu jej miłości.

Pod względem religijnym widuje się tu przejawy ogromnej pobożności. Miałam sposobność być jednego razu w kościele Mont-Martre, gdzie w każdą ostatnią niedzielę miesiąca, odbywa się procesja męska niezrównanie wzruszająca siłą i żywą pobożnością. Co za wrażenie imponujące, widok tysięcy i tysięcy ludzi śpiewających Magnificat i Credo z głębokiem zrozumieniem i odczuciem malującym się na ich twarzach. Potem przechodzą wszyscy z modlitwą i w skupieniu, jak się tego nie widuje u nas wśród mężczyzn, idą ze świecami w rękę i trójbarwnymi sztandarami, któremi oddają pokłon przed N. Sakr. odbywając zarazem przez to manifestację patriotyczną.

Patrzyłam na to z zachwytem i pełnym entuzjazmem i mówię sobie: oto punkt łączności Francji z Polską — połączenie wiary z miłością Ojczyzny. — Zwarzywszy wszakże, iż ani jednej niewiasty nie było w tym pochodzie, pytam naiwnie: „a w którą niedzielę kobiety odbywają swoją procesję?“ „Ależ w żadną“, — odpowiadają mi — ta procesja to jest oddanie się Francji Sercu Jezusowemu“. „A więc“ pytam? „ależ kobiet w tem niema“. — „Francja to mężczyźni“ „la France ce sont les hommes“!

„Jakżeśmy szczęśliwi“ powiada autorka listu, że się podwajamy w narodzie!

Duchowieństwo stoi tu bardzo wysoko i rozwija niezmiernie akcję społeczną. Wszystkie dzieła dobroczynności, czy to miłosierdzia, czy oświatowe, wychodzą z inicjatywy parafji, — Młode panienki ukończywszy nauki, jeżeli chcą działać społecznie, mogą przyłączyć się do dzieł parafjalnych, wykładając katechizm i. t. d.

Ale takiego stosunku jak u nas na wsi w Polsce gdzie właściciel większej majątności poczuwa się do obowiązku zajmowaniem się ludem, ubogimi i chorymi wioski, tego tu niema, od tego są szpitale, lekarze w najodleglejszym zakądku kraju i parafijalne instytucje dobroczynne. Mieszkańca pałacu „un chatelain“ nie obchodzi wcale otaczająca go gmina.

Co do sodalicii Marjańskiej, ta istnieje tutaj dla dziewcząt przy pensjonatach wychowawczych, albo przy parafjach — Wychodząc za mąż, w dzień ślubu, panna młoda składa na ołtarzu swój medal „Dzieci Marji“ z niebieską wstążką, a przyjmuje wstążkę fioletową, która jest odznaką „Niewiast katolickich“ — jedno zastępuje drugie.

Dla studentów, to jest dla młodzieży męskiej, niema kongregacji Marjańskiej, nie słyszy się tu wcale tej nazwy „Sodalis Marjanus“.

Nie mniej jednak, takich nadzwyczajnych i świetnych wychowawców i wychowawczyń jakie posiada i wydaje duchowieństwo tu tejsze, pozazdrościć można Francji.

J. S.

Wiadomości.

Panna Zdanowska pisze do nas z Zurichu: „Miałysmy 2¹/₂ godziny wykład o okurzaniu, a ćwiczenie zamiętania trwało parę godzin. Odbywało się tak:

Przyniosłyśmy małe miotelki do wymiatania z kątów i duże szczotki z całego domu, potem wysypałyśmy drobne trociny na ziemię i jedna za drugą zamiatałyśmy. Przy każdej z nas, stała koleżanka, która nielitościwie znów wszystko zsypywała na to miejsce by następna miała na czem sama się ćwiczyć.

Kurz oglądałyśmy przez mikroskop, potem nauczycielka miała wykład o rozmaitych jego gatunkach i o zasadach okurzania rozmaitych przedmiotów.

Podoba mi się ich wnikanie do głębi rzeczy przy każdej nauce.

Szkola nasza urządzała rodzaj kiermasza, to też pracy było dużo, ale i nauki przy tem, bo wiele rzeczy robiono, których w zwykłym czasie nie uczą zwłaszcza w kuchni. — Cieszę się, że tak dużo czasu w kuchni spędzamy, bo właściwie pół roku. Zeżyty staram się porządnie prowadzić, by móc je oddać Zakładowi.

Urządziłam raz dla koleżanek próbny wykład, jak to ja w Polsce opowiadać i tłumaczyć będą czego się tu nauczyłam. Uśmiełyśmy się przy tem bardzo.

Wpisałam się do Koła Polaków w Zurichu; mało nas jest, zaledwie 9-ciu rzeczywistych członków, ale miłe stosunki i dobrane towarzystwo.

Poznałam tu Państwa Czaplickich; jest to konsul Polski z żoną. Mam miły i życzliwy mi dom do bywania, zachodzę tam często wieczorem, po szkole, ona roztoczyła opiekę nademną i nie czuję się już tak samotna tu w Zurychu.

Minister oświecenia p. St. Grabski zwiedził nasz Zakład i zdawał się zadowolony. Podobała mu się jak się wyraził: „atmosfera porządku i pracy“.

Nasz burmistrz p. Kozłowski miał w Zakopanem bardzo dobry odzbyt o obecnem położeniu kraju. Przedstawił rzeczy trzeźwo, jasno, dobitnie, ale bez pesymizmu. Przyszłość od nas samych zależy. Ziemia nasza zawiera duże bogactwa ale trzeba umiejętności i pracy aby je wydostać i spożytkować. Obecnie, wartość tego co Polska wytwarza daje, obliczone na gotówkę, nie więcej jak 80 gr. na głowę dziennego dochodu. Jedni wydają więcej; ale kosztem drugich, którzy i tyle wydać nie mogą

Prenumerata Pisemka na rok 1926 nie będzie zmieniona wynosić będzie tak jak dotąd 4. 50 rocznie. Załączamy do numeru grudniowego każdej z prenumeratorek wykaz jak stoi jej rachunek w kasie nieuiszczenie należności za rok 1925 do d. 15 lutego uważać będziemy za wypowiedzenie prenumeraty na rok 1926.

Intencja: modlić się o jedność i zgodę w Ojczyźnie.



Wydawca: Zakład Kórnicki — Szkoła domowej pracy Kobiet w Zakopanem

Redaktorka: Aniela Strawińska — Zakopane, Kuźnice

Z drukarni Św. Michała Archanioła w Miejscu Piastowym.

